

## Wojna Gieni z Majdanu

**\* Ewa Czerwińska: Rozmowa z profesorem Soczewińskim sprzed tygodnia o wrześniu 1939 roku w Lublinie spowodowała, że posypały się e-maile, wpisy na redakcyjnym forum. Dlatego dziś rozmawiam z Panią. Pani także była mieszkanką Majdanu Tatarskiego.**

**Genowefa Krzos:** Na Majdanie się urodziłam, a we wrześniu 1939 r. miałam siedemnaście lat. Byłam uczennicą szkoły handlowej Vetterów. Wojna przerwała naukę w trzeciej klasie.

Tata pracował w kolejowych warsztatach, mama w kolejowej kuchni. Dzielnica była ładna, czysta, z domami murowanymi i drewnianymi, każdy miał podwórko i sad. Mieszanka ludności: Polacy, Żydzi, Cyganie, Ukraińcy. Żyliśmy ze sobą w zgodzie. Mój dziadek Paweł Dutka przez siedemnaście lat pracował w Ameryce. Przed pierwszą wojną światową miał garbarnię w Lublinie. W 1917 czy 18 roku, choć nie był ani biały, ani czerwony, musiał uciekać. Uciekł wraz z dwudziestoma swoimi pracownikami do Ameryki. Tam również pracował w garbarni. Wrócił do kraju po siedemnastu latach z oszczędnościami, dzięki którym kupił budulec na nowy dom. Ale nie zdążył go zbudować.

### **\* Pamięta Pani pierwszy dzień wojny?**

Mieliśmy radio kryształkowe na słuchawki. Żeby wszyscy słyszeli komunikaty, brało się porcelanowy talerz, z jak najcieńszej porcelany, na niego stawiało radio i to był taki głośnik. Nadawali wiadomości. Mój dziadek powiedział: no, tośmy przepadli. A ojciec na to: może jeszcze nie... Ale właśnie od nas Niemcy zaczęli. Następnego dnia zaczęło się bombardowanie. Bomby poleciały na Majdan i okolicę. Była ósma rano, rodzice poszli do pracy, ja zostałam sama z dziećmi - rodzeństwem i maluchami ciotki. Właśnie szykowałam śniadanie na podwórku, pod jabłonią, gdy słyszę nagle jakiś szum. Mówię do babci Ewy: coś się dzieje. Najpierw pomyślałam, że to samoloty od Plagego i Laškiewiczza. Ale nie, nasze samoloty lekko latały, a to był jeden wielki jęk. Patrzę: żołnierz biegnie od strony lotniska. Babcia jeszcze mówi: ależ te chłopaki latają za tobą! A ten żołnierz krzyczy, że bombardowanie będzie! Jeszcze nie skończył, a tu buuuch! Spojrzałam do góry - dziewięć samolotów leci i wali bomby. W pole, w pole! - krzyczy ten chłopak. Więc ja te dzieci zebrałam, bratu dałam dwuletnie sąsiadki, resztę wzięłam za ręce i jedno małe na rękę, a babcia wnuka Jureczka i biegniemy. Uciekliśmy za sad. A ten skurczybyk, nie dość że leje bombami, to jeszcze wali z karabinu maszynowego! A ja leżę z tymi dziećmi. Dostałam w ramię. Patrzę w górę, a ten z bombowca tuż nad nami, z karabinem maszynowym, strzela i śmieje się! Nie wiem, co się

ze mną stało. Widziałam tylko tego Niemiachę, jak się nachylił - zęby miał takie duże i śmiał się! Potem nakręcił, jeszcze raz wrócił i jeszcze raz serią poprawił. W końcu odleciał.

#### **\* Mogła się Pani poruszyć?**

Leżałam jak martwa. Wojsko polskie się pojawiło. Organizowali furmanki do zbierania rannych i zabitych, bo samochody nie mogły wjechać na pole. Widziałam te dzieci... Nie żyły już. Te nóżki, rączki poodrywane... Nie żyła siostra Irenka, dziewięć lat i cioteczne dzieci: Władzia, osiem lat lat, Nacia, pięć lat i Jasia, dwa latka. Zginęły też między innymi nasze sąsiadki z majątku: Weronika Hofman, jej siostra Zofia i jej synek Lesio. Ci, którzy zostali w domach i schowali się w piwnicach, przeżyli. Zabitych zabrano do trupiarni, ich pochówkiem zajął się potem magistrat. Ja i mój brat Rysio znaleźliśmy się w szpitalu u szarytek. Po drodze słyszałam, jak wojskowy mówił: może ona jeszcze dożyje. Jednak potraktowali mnie jak zmarłą i zanieśli do kostnicy. Oczy miałam otwarte, ale nie mogłam się poruszyć, bo dostałam w obojczyk i cała lewą połowę miałam sparaliżowaną. Nie mogłam mówić. I tak leżałam. Dopiero jeden wojskowy zauważył, że jednak żyję. Na nosze mnie zabrali i do szpitala. Doktor pochylił się nade mną: żeby była krew, to byśmy ją uratowali. Ale nie wiedzieli, jaka grupa. A ja to słyszę i wiem, że zerówka, ale słowa nie mogę z siebie wycisnąć. Ledwo podniosłam rękę i dwoma placami pokazałam zero. Ucieszyli się. Ten wojskowy dał mi swoją krew. Kiedy tak leżeliśmy w czasie przetaczania, on mówi: Taka młoda! Żebyś tylko wyzdrowiała, a jak wrócę z wojska, to ożenię się z tobą.

#### **\* Wie Pani, jak się nazywał?**

Nie. Nigdy więcej go nie spotkałam. W szpitalu pomału dochodziłam do siebie. Dziewiątego września po raz drugi Niemcy zbombardowali Lublin. Bomba upadła tuż pod mur szpitalny, akurat koło mojego łóżka. Ale nie rozerwała się. Doktor tylko pokiwał głową: miałaś, dziecko, szczęście. Tego dnia przyszli po mnie rodzice. Właściwie wpadli cali w nerwach, bo słyszeli o bombardowaniu szpitala. A Rysio? - zapytałam. Rozplakali się. Rysio umarł w nocy z drugiego na trzeciego września. Po szpitalu nie wróciłam na Majdan. Schroniliśmy się w Wysokiem u wuja. Ja zostałam tam na dłużej. Weszłam do konspiracji - tam działały BCh i AK - jako łączniczka. Nosiłam meldunki z Lublina. Nosiłam najczęściej do Janka Rotha i odwrotnie. Janek to cała historia.

#### **\* Nazwisko niemieckie.**

Matka Polka, ojciec z kolonistów niemieckich. Byli naszymi sąsiadami. Bardzo porządni ludzie. Z powodu nazwiska przydałby się organizacji - myśleliśmy w Wysokiem. Poszłam do niego i mówię: wiesz, Janek, ja to nie wyjdę za mąż. On zdziwiony: dlaczego. A ja: bo mam inny kierunek. I od słówka do słówka namówiłam go, żeby przyznał się do niemieckiego pochodzenia. Mówię: wpisz się do Niemców, masz nazwisko, tobie będzie dobrze i nam będzie dobrze. Wszystko po to, żeby przystał do konspiracji podziemnej i był naszym wywiadem. Powiedział, że najpierw musi porozmawiać z rodzicami. O, gówniara jaka, a będzie mną rządzić! - jeszcze żartował. Siedź pniaku stary i nie gadaj... odegrałam się, bo on był o sześć lat starszy - śmiałam się, ale czułam, że

załatwiłam interes. Rzeczywiście, zgodził się. Kilka dni później poszliśmy do Wysokiego. W organizacji było między innymi dwóch lekarzy, ksiądz Koc. Rozmawiali...

### **\* Jakie były losy Janka Rotha?**

Cały czas współpracowaliśmy. On pracował na Poczcie Głównej w Lublinie. Wszystko, czego się dowiedział, przekazywał mnie, a ja przekazywałam do Wysokiego. Kiedy w 1944 roku Niemcy uciekali przed frontem sowieckim, przybiegł do mnie: Gieniuchna, co ja teraz mam robić? Mówię: zdejmuj łachy - bo miał mundur Wehrmachtu - i znów będziesz Polakiem! Pożegnał się ze mną. Ustaliliśmy, że odezwie się dopiero wtedy, kiedy wszystko ucichnie. I już się nie widzieliśmy. Swojej matce dał tylko potem znak, że żyje.

### **\* Był czas na miłość?**

Ach! Janka nie chciałam, odstąpiłam go koleżance. W organizacji byłam jedyną dziewczyną. Ćwiczyłam tych chłopaków, jak chciałam. 13 czerwca 1943 roku, w dzień Świętego Antoniego wyszłam za mąż za Kazimierza Krzosa, w kościele parafialnym u św. Michała. Kazimierz pochodził z Maciejowa koło Wysokiego, razem działaliśmy w organizacji. A jaki był przystojny! Po wojnie pracował w Straży Pożarnej. Ja nie mogłam pracować zawodowo, bo lewą stronę po tamtym bombardowaniu mam bardzo słabą. Ale prawą jeszcze dziś mogę przyłożyć!

### **\* Podziwiam. Oprócz odwagi ma Pani jeszcze poczucie humoru. A co działo się na Majdanie?**

Wysiedlili mieszkańców, teren ogrodzili i wprowadzili tam Żydów. My dostaliśmy mieszkanie przy Lubartowskiej pod dziewiętnastką, wejście od Targowej. Ja tylko wpadałam na chwilę - umyć się i przebrać. Codziennie robiłam ponad sto kilometrów. Jak wstawałam o piątej ze słońcem, to na pierwszą godzinę byłam w Lublinie. Broń nosiłam. W majtkach.

Moja rodzina wróciła na Majdan. Pamiętam, jak włąziliśmy z mężem na dach za kominem i patrzyliśmy, jak Niemcy prowadzą Żydów do obozu na spalenie. Matki z dziećmi w becikach. Jak zapłakało które, Niemiec doszedł, wsadził bagnet w bet i rzucił do rowu. A potem już matki widziały, co grozi za płacz i same wrzucały bety do rowu. Na dzisiejszej Wrońskiej był obóz przejściowy dla Żydów przywożonych z różnych gett. Przychodziłam tam, żeby odbić te dzieci i przekazać je ludziom. Zabierali je mieszkańcy Majdanu.

### **\* Jak to się odbywało?**

Piękne były te dzieci. Buziunie takie śliczne pamiętam. Od becika i do starszych.... Myśmy Niemców przekupowali. Oni lubili wiejską kielbasę, więc my załatwialiśmy wałówkę, robiliśmy paczki i zostawialiśmy wartownikom. Dlatego przymykali na rampę oko. Ja wtedy wchodziłam do wagonu. Te dzieci czuły. Pchały się do mnie, trzymały za sukienkę. A ja pyrg jedno z betem, drugie za rękę i z wagonu! Nadawałam się do tego. Umiałam łapać te dzieci, te tobołki i rzucać tak, żeby nie upadły. I raz-dwa, przez piętnaście minut dzieci były rozdane. Ludzie rzucali też jedzenie przez

dрут, a czasem nawet przerzucali tamtędy dzieci. Ogrodzenie było pod prądem, więc dochodziłam na taką odległość, żeby żadne nie upadło.

### **\* Co działo się z dziećmi potem?**

Zdarzyło się kilka razy, że kobiety, które zabrały dzieci, przyszły do mnie i mówiły: to ta pani, co cię uratowała.

**\* Więc można przypuszczać, że do dziś żyją w Lublinie tamte uratowane dzieci, które wychowały się w polskich rodzinach. Wiedzą o swoim pochodzeniu lub nie.**

Oczywiście. Po wojnie nie mówiło się o tym, ale pewnie do dziś niektórzy ludzie pamiętają. Czasem matki żydowskie wkładały w pieluchy kartkę z prawdziwym imieniem i nazwiskiem dziecka. A często nie. Więc matka polska mogła ochrzcić, zapisała na siebie.

W 1944 roku zaczęła się nowa gehenna. Jak to powiedzieć? Samo się płacze. Weszli Rosjanie i jeszcze gorzej było. Ale trzeba się cofnąć do 17 września 1939 roku. Tego dnia od strony Zamościa wpadła jakaś banda. Nie wiadomo kto. Jakies bandziory przepasane sznurkiem, w łachach, ze skośnymi oczami. Brudne, śmierdzące. Na piechotę lecieli. Zbieranina jakaś. Dotarli na Majdan. Zamordowali Henia Jońskiego, miał szesnaście lat, ładnie grał na akordeonie, urwali mu przyrodzenie. Trzy dziewczynki zgwałcili, zostawili z butelkami między nogami. Poobcinali im piersi. To młodzież, co się skryła w sąsiednim majątku Rudolfa Hofmana, na Majdanie. Myśmy się schowali w kryjówce w piwnicy. W tym czasie banda gwałciła, mordowała, okradała. Przeleciała jak huragan.

W 1944 roku dziadek powiedział: teraz będzie piekło. Ten pluder, znaczy Niemiec poszedł, a przyjdzie nowy. I przyszedł. Też się chowaliśmy. A oni znów gwałcili. Kobiety, dziewczęta. Dzieci też nie były bezpieczne. I plądrowali. Prosiak czy kura się napatoczyła, to oni bagnetem i w dołek, ognisko - dawaj mięso piec. A krok dalej ściągał taki portki i załatwiał swoją potrzebę. Szarża Armii Czerwonej inaczej odnosiła się do ludzi, szeregowcy rwali co się ruszało. Nie patrzyli, czy to kobieta, czy dziecko. Myśmy myśleli, że to wybawcy, a oni jeszcze gorsi od Niemców byli. Baliśmy się. Chowałam się w kryjówce w komórce. Dziadek chodził, płakał. Spluwę miał za pazuchą. Mama była ledwo żywa.

### **\* Gdzie był Pani mąż?**

Powołali go do II Armii WP. Niby na ochotnika, ale nie było odwołania. Przykre, że w jednym szeregu stanęli uczciwi ludzie razem z kapusiami. Ci ostatni nadal mieli najwięcej do powiedzenia. Dowódcami nie byli Polacy, tylko Rosjanie. Poborowi doszli do Kocka. Był grudzień 1944 roku. Mieszkali w ziemiankach. Szli do wojska, żeby walczyć, Niemca przegonić, w słusznej sprawie, ale ten oddech NKWD na plecach był straszny. Wielu akowców przesłuchiowano. Byli gnębieni. Ojciec służył w zwiadzie i doszedł do Budziszyna. Życie uratowały mu ziemne groby, między którymi czołgał się w czasie nalotów dywanowych oraz święty Antoni i moja mama. W pierwsze powojenne lato stacjonował w Lubaniu Śląskim, kiedy pojechała tam moja mama. Mieli się rozejrzeć, czy nie

osiedlić się na ziemiach odzyskanych. Ponieważ przyjechała teściowa, mój mąż nie poszedł z innymi na żniwa, tylko został z nią. A ci żniwiarze już z pola nie wrócili.

**\* A Pani właśnie urodziła córkę Irenę.**

Córka miała może kilka dni, karmiłam ją właśnie piersią, kiedy puka ktoś do drzwi. Wchodzą trzech wojskowi w polskich mundurach. Jeden się odzywa: a ojciec gdzie? I że rozstrzelani mamy być, bo jesteśmy w bandzie. Wyrok na nas przynieśli. W jakiej bandzie? Mąż przecież w wojsku służy... - dziwię się. Jezu, struchlałam. Myślę: żeby tylko córeczkę przy życiu zostawili, a mnie, no już trudno... A wtedy przypomniałam sobie, że przed chwilą chłopak przyniósł pocztę - list od Kazia z wojska. Mąż pisał, że zdrowy, tęskni za nami bardzo i cieszy się córeczką. List był złożony w trójkąt. Wzięłam go ze stołu i rozłożyłam na becie. Ten wojskowy czyta, czyta i jakoś tak dziwnie na mnie popatrzył. Coś zagadał po rusku do tych dwóch. Potem wyjął z raportówki puszkę i bochenek chleba. To dla rebionka - powiedział. Ci dwaj zrobili to samo.